

Prof. dr hab. LESZEK PACHOLSKI

Uniwersytet Wrocławski

KALIFORNIJSKA REFORMA SPRZED 50 LAT

Kalifornia ma około 38 milionów mieszkańców – nieco więcej niż Polska. Zajmuje wprawdzie znacząco większy obszar – 424 tysięcy kilometrów kwadratowych, ale prawie czwarta jego część to pustynia, można więc uznać, że również pod względem obszaru niewiele się różni od Polski. Podobnie jak w Polsce, w Kalifornii studiuje około 2 milionów młodzieży. I tu się chyba podobieństwa kończą. PKB na mieszkańca jest w Kalifornii dwa razy wyższy niż w Polsce. W pierwszej setce rankingu szanghajskiego jest 11 uniwersytetów kalifornijskich, z Polski nie ma żadnego.

Niemal każdy potrafi wymienić kilka sławnych uniwersytetów kalifornijskich, mało kto jednak zdaje sobie sprawę z tego, że w Kalifornii zbudowano najlepszy chyba na świecie system publicznych szkół wyższych, w którym kształci się 90% kalifornijskich studentów. System ten został w kwietniu 1960 roku wpisany do konstytucji Kalifornii. Wcześniej, na przełomie stycznia i lutego 1960 roku, kilkudziesięcioosobowy zespół, złożony z polityków i pracowników szkół wyższych, przedstawił „Master Plan for Higher Education in California” – szczegółowy dokument zawierający analizę sytuacji szkolnictwa wyższego w Kalifornii, ocenę potrzeb i możliwości oraz propozycje rozwiązań na najbliższe 15 lat. Przygotowanie tego dokumentu nie byłoby możliwe bez ogromnego zaangażowania członkini kalifornijskiego parlamentu – Doroty M. Donahoe, i poparcia gubernatora Pata Browna. Jednak za twórcę systemu uważa się Clarka Kerra, ówczesnego prezydenta Uniwersytetu Kalifornijskiego, który rozumiał, że „**celem projektu musi być pogodzenie sprzecznych potrzeb wspierania doskonałości oraz zapewnienia dostępu do (wyższej) edukacji dla wszystkich**”. Podobnie jak inni członkowie zespołu, rozumiał

też, że nawet Kalifornia nie może w nieskończoność zwiększać wydatków na szkolnictwo. System bez istotnych zmian istnieje już od ponad 50 lat i wciąż, mimo ostatnich kłopotów finansowych, ma się dobrze.

W dyskusjach na temat polskich uniwersytetów głos na ogół zabierają ambitni uczeni, którym leży na sercu wysoki poziom badań i kształcenie elit. W ich wypowiedziach słychać tęsknotę za starymi dobrymi czasami. Przed wojną maturę zdawało 40 tysięcy uczniów, a na studia wybierało się kilka tysięcy. W 2002 roku było w Polsce ponad 2 miliony studentów. Na studia wybiera się prawie każdy absolwent szkoły średniej. W tej sytuacji trudno się spodziewać, że przeciętny absolwent szkoły wyższej będzie reprezentował taki sam poziom, jak przeciętny absolwent przed wojną. Jest kilka sposobów na poprawę jakości przeciętnego absolwenta. Jeden, najskuteczniejszy, mógłby polegać na ograniczeniu liczby studentów do 200 tysięcy, czyli do poziomu sprzed 50 lat. Inny, mniej skuteczny, wymagałby znacznego zwiększenia liczby nauczycieli akademickich i podniesienia ich kwalifikacji, tak aby, podobnie jak to jest w Oksfordzie i Cambridge, można było każdemu studentowi zapewnić indywidualną opiekę tutorów. Oczywiście wymagałoby to wielokrotnego zwiększenia wydatków państwa na szkolnictwo wyższe i oczywiście nie dawałoby gwarancji, że każdy absolwent będzie dobrze wykształcony.

Często w dyskusjach o nauce można usłyszeć, że poziom badań w Polsce jest bardzo dobry, że przeciętna liczba artykułów publikowanych przez naszych naukowców jest wysoka, a wydatki z budżetu na „wyprodukowanie” jednej publikacji należą do najniższych na świecie. To wszystko prawda, niestety obraz się zmienia, gdy zamiast liczby publikacji policzy się liczbę cytowań lub prestiżowych dokonań polskich uczonych. W ostatnio rozstrzygniętym konkursie na granty ERC dla młodych badaczy po raz kolejny nie było ani jednego uczonego pracującego w Polsce. Chwalimy się osiągnięciami polskich studentów informatyki, ale dotychczas nie przełożyły się one na powstanie polskiej Doliny Krzemowej. Na to, aby tworzyć w Polsce naukę na najwyższym poziomie, potrzebne są, między innymi, pieniądze na wysokie wynagrodzenia dla wybitnych specjalistów o wysokich, niedostępnych w Polsce kompetencjach, których trzeba sprowadzić z najlepszych ośrodków na świecie. Podobnie tylko wybitni specjaliści w dziedzinie najnowszych technologii mogą kształcić inżynierów, którzy unowocześnią polską gospodarkę. A to dużo kosztuje. Od wielu lat słychać więc postulaty, że należy zwiększyć fundusze na badania naukowe oraz na szkolnictwo wyższe. Niestety, nie bardzo wierzę, że w przewidywalnej perspektywie jest to możliwe. Być może rząd dołoży miliard lub dwa, ale to w istotny sposób sytuacji nie zmieni. Potrzebne są reformy, a przede wszystkim

zdecydowana zmiana sposobu wydawania pieniędzy na badania i szkolnictwo wyższe.

Moim zdaniem, inspiracji może dostarczyć analiza systemu kalifornijskiego. Ten system szkolnictwa wyższego składa się z trzech, wyraźnie rozdzielonych segmentów: dwuletnich kolegiów (*junior college* lub *community college*, CCCS), czteroletnich kolegiów stanowych (*State College System, California State University*) i Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Dwuletnie kolegia mają swojego kanclerza oraz radę gubernatorów; są one zarządzane przez lokalne „kuratoria”, obejmujące swym nadzorem od jednego do czterech kolegiów. Obecnie funkcjonuje 112 takich kolegiów, nadzorowanych przez 72 kuratoria. W kolegiach może studiować każdy mieszkaniec Kalifornii, który ukończył szkołę średnią – niezależnie od uzyskanych w szkole wyników i wyników standardowych testów (takich jak SAT). Studia mogą obejmować przedmioty wykładane na pierwszych latach studiów uniwersyteckich (których dobre zaliczenie może umożliwić transfer na uniwersytet), przedmioty przygotowujące do zawodu i przedmioty ogólne. Zakres wykładów nie może wykraczać poza drugi rok studiów uniwersyteckich. Kolegia cieszą się w Kalifornii uznaniem, zresztą podobnie jest w innych stanach. Nauczyciele akademicy są starannie przygotowywani do pracy z mniej ambitną i gorzej przygotowaną młodzieżą. Zapewne dla wielu osób zaskoczeniem będzie informacja, że 80% informatyków w kultowej Dolinie Krzemowej to absolwenci kolegiów dwuletnich. Znam informatyków, którzy kilka lat po ukończeniu dwuletniego kolegium, w celu zdobycia dyplomu, zapisali się na uzupełniające studia na pełnym, czteroletnim uniwersytecie. Wszyscy oni są przekonani, że studia uzupełniające nie dały im żadnej użytecznej wiedzy. Cenione są natomiast prowadzone przez kolegia dwuletnie studia uzupełniające dla osób, których wiedza się „zestarzała”. Ambitny absolwent Uniwersytetu Stanforda sam potrafi uaktualniać swoją wiedzę i umiejętności. Człowiek mniej uzdolniony często tego nie potrafi. Jeśli on lub jego pracodawca uzna to za celowe, może unowocześnić swoje wykształcenie zapisując się na jeden lub kilka kursów w kolegium.

Drugi segment – system Stanowych Uniwersytetów Kalifornijskich (CSU), też ma swoją radę powierniczą oraz gubernatora. W 23 kampusach oferuje studia do magisterium włącznie, w zakresie sztuk wyzwolonych, nauk ścisłych i stosowanych. Kształci się też nauczycieli. Profesorowie tych uczelni „mają prawo prowadzić badania naukowe”, ale nie są do tego zobowiązani. Uniwersytety stanowe mogą nadawać stopień doktora „we współpracy z Uniwersytetem Kalifornijskim”, ale, o ile wiem, prawie z tej możliwości nie korzystają.

W końcu trzeci segment to dobrze znany także w Polsce Uniwersytet Kalifornijski (UC). Kierowany jest przez prezydenta, który powoływany jest przez radę regencyjną i który wyznacza kanclerzy dziesięciu kampusów. Cztery najlepsze kampusy – w Berkeley, Los Angeles, San Diego i San Francisco – plasują się w pierwszej dwudziestce rankingu szanghajskiego (w ostatnim roku na pozycjach 4, 12, 14 i 18), cztery następne mieszczą się w pierwszej setce, jeden w drugiej, a ostatni, najmłodszy kampus Merced jeszcze się w rankingu nie zmieścił.

Bardzo wysoka pozycja kampusów Uniwersytetu Kalifornijskiego jest niewątpliwie ogromnym sukcesem. Warto zastanowić się, jakie są źródła tego sukcesu. Na pewno ważną rolę odgrywają zasoby finansowe Kalifornii, choć warto pamiętać, że od wielu lat Kalifornia nie jest już w amerykańskiej czołówce, jeśli chodzi o PKB *per capita*. Ważną rolę odgrywa sposób dystrybucji pieniędzy, co wyraźnie widać w poniższej tabelce. W systemie dwuletnich kolegiów uczy się w Kalifornii dziesięć razy więcej studentów niż w Uniwersytecie Kalifornijskim. Całkowita dotacja (dydaktyczna) z budżetu stanowego dla obu tych segmentów jest niemal taka sama – trzeba jednak pamiętać, że do kampusów Uniwersytetu Kalifornijskiego poza dotacją dydaktyczną trafiają także ogromne środki na badania naukowe, których kolegia nie prowadzą. Ponadto czesne na Uniwersytecie, w porównaniu z czesnym w kolegiach, jest prawie sześć razy wyższe dla rezydentów Kalifornii i kilkanaście razy wyższe dla pozostałych osób. Liczba pracowników w Uniwersytecie Kalifornijskim jest ponad 2,5 raza większa od liczby pracowników kolegiów, a wynagrodzenia profesorów są także dużo wyższe. Podobne, choć oczywiście znacznie mniej drastyczne, różnice występują w poziomie finansowania Uniwersytetu Kalifornijskiego i Uniwersytetów Stanowych.

	Uniwersytet Kalifornijski	Dwuletnie kolegia
Liczba studentów	236 tysięcy	2,4 miliona
Liczba pracowników	210 tysięcy	80 tysięcy
Dotacja stanu Kalifornia	3,2 miliarda \$	3,5 miliarda \$
Dotacja na studenta	14,5 tysiąca \$	1,5 tysiąca \$
Czesne dla rezydentów	15 tysięcy \$	2,7 tysiąca \$
Czesne pełnopłatne	38 tysięcy \$	nie dotyczy
Pensja profesora (roczna)	180 tysięcy \$	80 tysięcy \$

Różnice w finansowaniu nie wyjaśniają wszystkiego. Poza nimi funkcjonuje szereg ograniczeń uniemożliwiających rozmontowywanie systemu. To, że stosunkowo niewiele osób studiuje na Uniwersytecie Kalifornijskim, jest skutkiem wprowadzonej w 1960 roku i utrzymywanej do tej pory zasady, że w systemie UC może studiować **tylko jedna ósma (12,5%) świeżych absolwentów** liceów, jeśli oczywiście są rezydentami Kalifornii. Żaden z kampusów nie może „dorobić”, zwiększając liczbę studentów poprzez obniżenie kryteriów lub otwarcie studiów zaocznych. Można wprawdzie przyjąć studentów spoza stanu lub z zagranicy, ale do niedawna ich liczba nie mogła przekraczać 2% wszystkich przyjmowanych. Ponadto stawiane im wymagania muszą być **co najmniej takie**, jak wymagania wobec studentów przyjmowanych w systemie. Dodatkowo wprowadzono ograniczenie (do 27,5 tysiąca) liczby studentów, którzy mogą studiować na jednym kampusie. Istnieją wprawdzie odstępstwa od tej zasady, ale wymagają trudnej do uzyskania zgody rady gubernatorów.

Prawo do studiowania w systemie Uniwersytetów Stanowych ma tylko jedna trzecia (33%) absolwentów szkół średnich, z podobnymi jak w systemie UC ograniczeniami dotyczącymi wyjątków.

Trzeba podkreślić, że system kalifornijski jest sztywny, to znaczy nie ma takich jak w Polsce możliwości „awansowania” kolegium do systemu CSU czy uniwersytetu stanowego do systemu UC. Jeśli okazuje się, że w ramach dotychczasowego systemu brakuje miejsc dla uprawnionych kandydatów na studia, podejmowana jest decyzja o utworzeniu nowej uczelni. Lista kampusów w systemie UC jest zamknięta. Nie można szkoły z jednego systemu przekształcić w szkołę w innym systemie. Na przykład Uniwersytet Stanowy w San Jose, centrum Doliny Krzemowej, mimo niewątpliwych sukcesów nie może przejść do wyższej ligi, czyli do systemu UC. Nie ma też, jak się wydaje, możliwości przekształcenia uniwersytetu należącego do UC w uniwersytet stanowy w systemie CSU. Kadra uczelni z poszczególnych sektorów jest budowana w inny sposób, tworzą ją osoby o innych kompetencjach. Twórcy kalifornijskiego systemu szkolnictwa wyższego postulowali, aby każdy z jego członów „dążył do doskonałości w swojej kategorii”. Jest to możliwe tylko wtedy, gdy system daje gwarancję stabilności i gdy miarą sukcesu jest dobre wypełnianie swoich obowiązków, a nie awans do wyższej ligi. Nauczycielem w kolegium nie może być niespełniony lub emerytowany profesor uniwersytetu, lecz musi to być osoba dobrze przygotowana do pracy z gorzej wykształconą i mniej ambitną młodzieżą.

W rezultacie publiczne uczelnie w Kalifornii są bardzo jednorodne. W Polsce regułą jest, że w ramach jednej uczelni są zarówno wydziały wysoko cenione na świecie, jak i „zapyziałe” wydziały prowincjonalne. Podobnie na jednym wydziale mogą pracować zarówno uczeni wybitni, jak i osoby, które w ogóle

nie powinny się tam znaleźć. Tak będzie zawsze, jeśli wyższa szkoła zawodowa zostanie przekształcona w uniwersytet badawczy – przecież po zmianie nazwy nie zwolni się natychmiast wszystkich wcześniej przyjętych nauczycieli akademickich.

Warto porównać funkcjonowanie obu systemów edukacyjnych – kalifornijskiego i polskiego. Przede wszystkim zasady finansowania i reguły dotyczące przyjęć na studia są w Polsce prawie takie same dla wszystkich uczelni. Nawet uczelnie z czołówki na mniej atrakcyjne kierunki studiów stacjonarnych przyjmują każdego ze zdaną maturą. Na matematykę w bardzo dobrym uniwersytecie można się dostać, jeśli z matury podstawowej z matematyki uzyskało się minimalną liczbę punktów (30%), dającą świadectwo maturalne. Na studia niestacjonarne przyjmie się każdego nawet na obleganych kierunkach. Wprawdzie od pewnego czasu mówi się o lepszym finansowaniu najlepszych wydziałów, ale ewentualne różnice nie są duże. Ponadto zwiększenie dotacji jest decyzją na jeden rok, co nie pozwala na planowanie strategiczne ani na zmianę polityki kadrowej.

Podsumowując, system finansowania szkolnictwa wyższego w Kalifornii zapewnia wyższą edukację wszystkim chętnym, przy czym dla osób bez wielkich ambicji jest to edukacja stosunkowo tania. Natomiast potencjalnym liderom nauki, kultury i gospodarki oferuje się doskonałą edukację, możliwość kontaktu z dobrze opłacanymi wybitnymi uczonymi, którzy mają nieduże pensum, a przez to czas na własne badania oraz na dyskusje z kandydatami na badaczy. W Polsce w zasadzie wszystkim oferuje się bardzo zbliżone warunki studiowania oraz podobne warunki pracy naukowej – takie samo wynagrodzenie i takie samo pensum. Trudno się dziwić, że efekty nie są zachwycające.

Dodatkowym elementem różniącym system kalifornijski od polskiego jest ład korporacyjny (*governance*). Wiele osób zabierało głos w tej sprawie, trzeba jednak w tym miejscu podkreślić, że podobna do kalifornijskiej dywersyfikacja edukacji wyższej nie będzie możliwa przy obecnym systemie kierowania uczelniami.

Warto też zwrócić uwagę na pozytywną rolę konkurencji z uczelniami prywatnymi. Doskonale uniwersytety badawcze, takie jak Stanford czy Caltech, ustanowiły bardzo wysokie standardy w dziedzinie badań i kształcenia elit. Uniwersytet Kalifornijski musi się do tych standardów dostosowywać pod groźbą utraty prestiżu. Prywatne kolegia, takie jak Harvey Mudd College czy Ponom College, wysoko podnoszą poprzeczkę, jeśli chodzi o skuteczność metod kształcenia i dostosowywanie programów do możliwości słuchaczy oraz potrzeb rynku pracy. Uniwersytety w systemie CSU oraz kolegia w systemie CCCS muszą to w swojej pracy uwzględniać.